TASMINA PERRY

Pocałunek na pożegnanie

Porywająca opowieść o miłości, stracie
i głęboko skrywanej tajemnicy

TASMINA PERRY

Pocałunek na pożegnanie

Porywająca opowieść o miłości, stracie
i głęboko skrywanej tajemnicy

PRZEŁOŻYŁA
Małgorzata Bortnowska

WYDAWNICTWO
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Last Kiss Goodbye

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja: Adrian Kyć
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Everett (Shutterstock)
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2015 Tasmina Perry

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Małgorzata Bortnowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2017
ISBN 978-83-65506-97-9

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE
www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Druk i oprawa: OZGraf

Prolog

Buckinghamshire, początek 1961 roku

Oczywiście się spóźnił. Dominic Blake zawsze się spóźniał, był z tego znany. Czy w grę wchodziło przyjęcie, partyjka kart, czy nawet ślub, miało się pewność, że Dominic przyjdzie ostatni, odgarniając włosy do tyłu i uśmiechając się z zakłopotaniem, by jakoś zatuszować nietakt osobistym wdziękiem. Wszystko stanowiło część gry, lecz mimo to Dominic nie cierpiał sprawiać Vee zawodu. Jednak tego wieczoru było to nie do uniknięcia.

– Cholera – mruknął, gdy za szybko wziął zakręt i uderzył w krawężnik. – Będą musieli się z tym pogodzić – dodał, wyskakując z samochodu z zamontowaną instalacją gazową i pędząc po kamiennych stopniach do Batcombe House.

– Dobry wieczór, Connors – powitał starszego mężczyznę, który otworzył mu drzwi. – Wciąż biesiadują?

– Lady Victoria jest w jadalni, proszę pana – odparł kamerdyner. – Choć mniemam, że kończą już pudding.

– Wspaniale – odrzekł Dominic. Poprawił muszkę i przecisnął się przez podwójne drzwi.

Powitały go gwizdy i ironiczne oklaski.

– Dobrze już, dobrze – odezwał się, unosząc ręce. – Wiem, jak zwykle jestem beznadziejny.

Przeszedł przez pokój ku kobiecie siedzącej na lewo od szczytu stołu i pochylił się, by krótko cmoknąć ją w policzek.

– Przepraszam, Vee – powiedział. – Nie wiem, co musisz o mnie myśleć.

– Wiesz aż nadto dobrze, co o tobie myślę, Dominicu Blake – odparła, ale jej słowom przeczył nikły uśmiech błąkający się po czerwonych wargach. – Wygląda na to, że zepsułeś moje cywilizowane przyjęcie, więc oczekuję, że zrekompensujesz mi to jakąś skandaliczną plotką.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Kawę podadzą w salonie – oznajmiła Vee, powstając z krzesła i zwracając się do gości. – Pan Blake w ramach pokuty odtańczy fandango.

Dominic skłonił się ostentacyjnie w odpowiedzi na kolejne gwizdy wstających od stołu biesiadników. Mężczyźni z twarzami zaczerwienionymi od bordeaux, w garniturach skrojonych przez krawców przejętych po ojcach, kobiety w jedwabiach i perłach, z niespokojnym wzrokiem. Od wszystkich emanował zapach pieniędzy. Prze-

jawiał się w tym, jak się poruszali, w ich śmiechu, w poczuciu, że nic nie może ich dotknąć.

– Załatwmy to teraz – szepnęła Victoria, przysuwając się blisko.

– Załatwmy co?

– Twoją wymówkę, oczywiście. Wiem, że jakąś masz. Co to takiego? Niecierpiące zwłoki spotkanie w admiralicji? Zbiegli maltańscy gangsterzy? Chora babcia?

– Tym razem nie, Vee – zaśmiał się Dominic. – Po prostu zaspałem.

– Zaspałeś? – roześmiała się, zerkając na misterny złoty zegar stojący na kominku. – Dominicu, jest kwadrans przed dziesiątą. Kim ty jesteś, wampirem?

Nachylił się i szepnął:

– Cóż, w barze hotelu Claridge's spotkałem pewną młodą damę, która bardzo naciskała, żebym...

Victoria położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie, nie, rozmyśliłam się, nie chcę wiedzieć. Zadowolę się tym, że tu jesteś. Zresztą mam nadzieję, że ta młoda dama w Claridge's to nic poważnego. Zaprosiłam na ten wieczór kilka niezwykle uroczych kobiet. Piękne, ustosunkowane... – szepnęła teatralnie.

– Vee, przy tobie każda kobieta jest rozczarowaniem, wiesz o tym – zaśmiał się, obejmując czule jej plecy. Vee skomentowała to ironicznym „Ha!", lecz Dominic widział, że jest zadowolona z komplementu. Co zabawne, nie był on jedynie czczym pochlebstwem. Lady Victoria Harbord miała wszystko to, co zawsze chciał widzieć w kobiecie. Była piękna, elegancka i przenikliwie inteli-

gentna, a mimo to odznaczała się wielkodusznością i gustowała w tym, co nietuzinkowe, a to wyjaśniało zarówno nowoczesny wystrój pokoju, jak i fakt, że Dominic Blake – redaktor i podróżnik – bywał zapraszany na jej wieczorki.

Może gdyby sprawy wyglądały inaczej, pomyślał, patrząc, jak zbliża się do nich niski, pulchny mężczyzna w smokingu i otacza ramieniem talię Vee.

– Dominicu, zdążyłeś – zagrzmiał Tony Harbord ze swym silnym, amerykańskim akcentem. – O czym tym razem plotkujesz z moją żoną?

– Próbuje mnie wrobić – uśmiechnął się Dominic, mrugając do Victorii. Gdy odpowiedziała mu uśmiechem, zastanowił się, nie po raz pierwszy, czy jego przyjaciółka kocha tego bogatego nowojorczyka. To nie byłby pierwszy raz, kiedy kobieta o znakomitym pochodzeniu i tytule wyszła za mąż dla pieniędzy, lecz choć Victoria i o wiele starszy Tony pozornie wyglądali na osobliwą parę, Dominic często bywał wzruszony, wręcz zazdrosny, widząc łączące ich szczere uczucie.

– Nieźle – zaśmiał się Tony, utrącając złotą obcinarką koniec cygara, które trzymał w dłoni. – Im szybciej kogoś znajdziesz, Blake, tym lepiej. Powinieneś się ustatkować, choćby po to, żeby uciąć plotki o tobie i mojej żonie.

Dominic musiał przyznać, że było to całkiem udane przyjęcie. Czasami, mimo że lady Victoria miała niesamowity talent do wyławiania interesujących ludzi, imprezy socjety potrafiły być śmiertelnie nudne. Wychodziła na jaw prawdziwa natura tych ludzi: mężczyźni truli o polityce i o tym, czy uda im się postrzelać w week-

end, kobiety trzymały się anegdot o dzieciach, z których każde zapowiadało się na Rachmaninowa, Picassa albo Cycerona.

Dziś jednak pogawędził z poetą, który wierzył, że rośliny potrafią ze sobą rozmawiać, oraz z wybitnym torysem, który napomknął o swej skrywanej pasji do naturyzmu.

– Nie uważa pan, że wszystkie te wykrochmalone koszule strasznie krępują ruchy? – zapytał.

Sączył brandy z Jimem Frenchem, teksańskim przemysłowcem i przyjacielem Tony'ego, którego znał wcześniej jedynie z jego reputacji bezwzględnego handlarza bronią. Na pierwszy rzut oka French mu się nie spodobał, ale mimo to ujrzał w nim fascynujący materiał do artykułu w „Capital", piśmie, które wydawał. Wspomniał o tym fakcie Victorii, mając nadzieję, że zaaranżuje kolejne ich spotkanie, ale ostrzegła go, że niemądrze robić sobie wrogów z bogaczy.

Najbardziej satysfakcjonującą konwersację przeprowadził z bibliotekarzem z Oxfordu, który, po krótkich namowach, z radością – a właściwie z ulgą, jak pomyślał Dominic – wyjawił, że podczas wojny pracował nad wytworzeniem broni chemicznej w stajni w Wiltshire.

– Wie pan – powiedział stary człowiek – to było najlepsze pięć lat mego życia. Tak, ludzie umierali – mój brat zginął od bomby w Arnhem, wie pan – ale miało się to wspaniałe poczucie, że coś się robi, że jest się częścią czegoś większego od siebie, jeśli pan rozumie, o czym mówię. Będę szczery, młody człowieku, od tamtej pory wszystko już nieco rozczarowywało.

Dominic w końcu przeprosił, mówiąc, że chce wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Obejrzał się za siebie na zgromadzonych gości i skrył uśmiech za uniesionym do ust kieliszkiem brandy. Zabawne: wiedział wszystko o wszystkich tu zebranych. Nie były to same skandale, część z tych informacji okazywała się po prostu odkrywcza. Ale czemu powiedzieli to wszystko jemu? Teoretycznie powinni go unikać jak zarazy. Ludzie wiedzieli, że był redaktorem „Capital", jednego z lżejszych w tonie, lecz mimo to demaskatorskich magazynów z kiosku z gazetami. Był też znany jako jeden z największych plotkarzy i playboyów w mieście i wizerunek ten z zadowoleniem pielęgnował. A jednak zawsze wychodziło na to, że ludzie otwierali się przed nim. Może to moja szczera twarz, pomyślał i znów się uśmiechnął.

Prawda była o wiele prostsza: uzyskiwał odpowiedzi po prostu dlatego, że pytał. Anglicy byli zbyt grzeczni, by indagować o czyjeś sprawy, i w rezultacie kiedy ktoś wreszcie o nie spytał, zazwyczaj odczuwali taką ulgę, że zwierzali się z wszystkiego.

Dominic zauważył to już w bardzo młodym wieku, kiedy przyjaciele jego rodziców wpadali z wizytą do ich skromnego domu na wsi. Bogaci ludzie uwielbiali rozmawiać. To plotka, a nie pieniądz, wprawiała ich świat w ruch. A tym, o czym zamożni ludzie lubili rozmawiać bardziej niż o czymkolwiek innym, byli oni sami. Co za pożytek ze zbicia majątku na krugerrandach albo z przespania się z najlepszą przyjaciółką żony, jeśli nie można się tym pochwalić?

Znalazł się w bibliotece. Wiedział, że drzwi balkonowe tego pomieszczenia wychodziły na pachnący ogród. Przystanął i przejechał palcem po wspaniałej kolekcji oprawnych w skórę tomów należących do Victorii. Odwrócił się, usłyszawszy za sobą jakiś hałas. W drzwiach stała piękna blondynka, z ręką opartą na biodrze, wyglądająca w każdym calu na *femme fatale* z filmu noir.

– Znów się przede mną ukrywasz, Dommy? – zamruczała Isabella Hamilton, żona ministra Geralda Hamiltona. – Przybyłeś tak późno, że myślałam, że mnie unikasz.

Ruszyła powoli, kierując się ku niemu. Jej obcasy stukały o drewnianą podłogę biblioteki.

– Nigdy się przed tobą nie ukrywam, Izzy – odparł, wydymając uwodzicielsko usta. – Ale przecież nie chcemy żadnych niewygodnych sytuacji. Nie na oczach wszystkich.

– Możesz ułożyć mnie w każdej niewygodnej pozycji, jaka ci się spodoba, Dominicu Blake – uśmiechnęła się i zaczęła wodzić palcem po jego policzku. – Wiesz, że zrobię wszystko, co zechcesz. Musisz tylko poprosić.

– Izzy, nie możemy... – powstrzymał ją, cofając się o krok.

– Czemu nie? – szepnęła. – Jakbyśmy wcześniej tego nie robili.

Wyobraźnia podsunęła mu szereg rozkosznych obrazów.

– Pragnę cię – szepnęła mu do ucha.

– Izzy, proszę. – Było mu coraz trudniej się kontrolować.

– Pragnę cię teraz – wyszeptała, delikatnie muskając ustami jego wargi.

Poczuł ukłucie winy, napływ żalu. Sięgnął po jej dłoń, powoli kręcąc głową.

– Nie powinniśmy – powiedział, tym razem bardziej stanowczo.– Dlaczego nie? – odsunęła się z nadąsaną miną.

– Bo nie powinniśmy.

Isabella przez chwilę zbierała się w sobie, wiedząc, że nie uda jej się go przekonać. Nie tym razem.

– Jesteś tego pewien?

– Tak – skinął głową.

– W takim razem lepiej już pójdę – rzekła, zaciskając piękne usta. – Wiesz, jak Gerald za mną tęskni.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł z sympatią.

Twarz jej złagodniała. Pocałowała palec i przycisnęła go do jego ust.

– Żegnaj, Dominicu – powiedziała. Zamknął oczy, rozkoszując się tym ciepłym, sugestywnym dotknięciem, wiedząc, że czuje je po raz ostatni.

Patrzył, jak odchodzi, jak jej smukła sylwetka oddala się w stronę światła i gwaru przyjęcia, a potem zapalił papierosa.

Odsunął ciężką, zieloną, aksamitną zasłonę i otworzył drzwi balkonowe. Rozkoszując się chłodnym powietrzem, które orzeźwiło mu twarz, wypuścił z ust podłużny, kręty, szary obłoczek dymu.

No i proszę, oto uczestniczył w jednym z najmodniejszych przyjęć roku, otoczony towarzystwem z *beau monde*, a mimo to czuł wewnątrz pustkę i niepokój.

Może Tony miał rację. Może powinien się ustatkować. Miał już dość wykorzystywania pięknych, młodych kobiet, takich jak Isabella, i wszystkich innych wymieniających się blondynek, brunetek i rudzielców. Może powinien przebudować swoje życie, chociaż nigdy nie toczyło się tak łatwo jak teraz, pomyślał, marszcząc brwi i obserwując, jak dym ulatuje w mroczne, nocne powietrze.

– Dominicu.

Początkowo głos nie wydał mu się znajomy. Przez krótki, pełen niepokoju moment pomyślał, że to Gerald Hamilton przyszedł złożyć mu wizytę, ale potem zwrócił uwagę na akcent i rozpoznał go.

– Eugene – uśmiechnął się z ulgą, gasząc papierosa podeszwą buta.

Znał tego Rosjanina, attaché morskiego, który od świąt Bożego Narodzenia stacjonował w ambasadzie swego kraju w Kensington. Początkowo był zaskoczony, że Eugene'a zapraszano na przyjęcia i kolacje socjety takie jak to, na którym byli dziś wieczorem – ludzie podejrzliwie odnosili się do Sowietów, i nic dziwnego, skoro panowała zimna wojna. Jednak prawda była taka, że ktoś uważany za osobę tajemniczą i niejako zakazaną – ktoś w rodzaju przystojnego sowieckiego attaché morskiego – był na salonach klas wyższych równie mile widziany jak Dominic.

– Jak się miewasz, przyjacielu? – spytał, kładąc rękę na ramieniu Rosjanina.

Eugene tylko skinął głową.

– Możemy porozmawiać? – zapytał.

Dominic był zawsze gotów każdego wysłuchać. Wyjął papierośnicę z kieszeni, otworzył ją i zaofiarował przyjacielowi sobranie w tabaczkowym kolorze.

– Oczywiście – zgodził się.

Zeszli do ogrodu. Powietrze pachniało, woń żonkili i wilgotnej trawy była mocna i upajająca, a księżyc w pełni zalewał ogród sennym, mlecznym światłem.

Usiedli na kamiennej ławie. Eugene zaczął mówić, a Dominic skrzyżował nogi i wypuścił z ust kolejne kółko dymu, przygotowując się do słuchania. Nie wiedział, że rozmowa, którą miał przeprowadzić, całkowicie zmieni bieg jego życia.

Rozdział 1

Londyn, czasy współczesne

Abby Gordon spojrzała na zawiniętą na brzegach mapę w kolorze sepii rozłożoną przed nią na dębowym stole i westchnęła. No bo kogo obchodzi, gdzie leży jakaś Samarkanda, pomyślała buntowniczo. Poczuła nagłą ochotę, by zwinąć mapę w kulkę i cisnąć ją do pieca. Wyobraziła sobie, jak zajmuje się ogniem, jak na jej oczach rozjarza się i spala. Potrząsnęła głową i objęła wzrokiem salę, zastanawiając się, czy ktoś zauważył, że się zarumieniła. Nie, jedynie miły pan Bramley, wiekowy nauczyciel akademicki, siedział pochylony nad swoimi materiałami po drugiej stronie szklanych drzwi.

Panu Bramleyowi na pewno bardzo zależało na tej mapie. Zapewne wskoczyłby do pieca, żeby ją uratować.

Weź się w garść, Abby, przywołała się do porządku, wyobrażając sobie biednego pana Bramleya w płomieniach.

Był taki czas, nie tak dawno temu, kiedy kochała swoją pracę archiwistki w Królewskim Instytucie Kartograficznym. Zgoda, nie były to Tate ani Instytut Courtaulda. Nie spędzała dni na katalogowaniu bezcennych obrazów jak część jej znajomych, z którymi studiowała historię sztuki. Nie pracowała w najmodniejszej galerii ani w prestiżowym domu aukcyjnym, ani nie była asystentką jakiegoś głośnego fotografa. Choć trzeba przyznać, że maniacy map i entuzjaści geografii z całego świata ściszali z szacunkiem głos, gdy rozmawiali o archiwum KIK. Abby nie należała do ich grona, ale mimo to cieszyły ją skarby, które znajdowała wśród rupieci. Były tu oczywiście mapy, tysiące map, wszystkie pochowane w klimatyzowanych (co oznaczało marznięcie, jeśli się nie założyło wysłużonych rajstop) szafach. Były atlasy, niektóre zwyczajne, inne bardzo rzadkie i cenne, w tym jeden będący niegdyś własnością Marii Antoniny, ciężkie, oprawne w skórę tomiszcze, którego nikomu – nawet jej szefowi Stephenowi – nie wolno było dotykać. No i do tego cenne przedmioty: butla tlenowa, stary but, spatynowany mosiężny kompas. Większość z nich upchano bez ładu i składu w kartonowych pudłach stojących obok biurka Abby. Na pierwszy rzut oka wyglądały po prostu na drobiazgi z dawno zapomnianych wypraw. Jednakże każda z tych rzeczy miała swoją historię – kompas kapitana Scotta, korkowy hełm Stanleya czy czekanomłotek, pozostałość po pierwszej próbie zdobycia Everestu.

Lecz czymś najbardziej zaskakującym, jak na instytucję poświęconą mapom, był rozmiar kolekcji fotografii. Mieściły się w niej setki tysięcy negatywów i slajdów, pokłosie wszystkich wypraw od czasu wynalezienia aparatu fotograficznego. Kłopot polegał na tym, że większość z nich nigdy nie opuściła swoich pudeł, i to z tego powodu osiemnaście miesięcy temu zatrudniono Abby: miała skatalogować zdjęcia i, przy odrobinie szczęścia, wydobyć je na światło dzienne. Ta praca zdawała się nie mieć końca.

Wzięła głęboki oddech, zwinęła mapę i ostrożnie wsunęła ją do tuby, zadowolona, że odfajkowała przynajmniej jedną rzecz z listy zadań na ten dzień.

Stepy rosyjskie, drukowana i kolorowana ręcznie, ok. 1789 r., Morgan Johnson. Abby wiedziała, że mapa byłaby warta tysiące funtów, gdyby kiedykolwiek wystawiono ją na aukcji. Ale tak się nie stanie. Utknęła tu, w zakurzonej piwnicy Królewskiego Instytutu Kartograficznego, czekając cierpliwie, aż ktoś na nią spojrzy, aż kogoś zainteresuje. Cóż, Abby znała to uczucie.

Zadzwonił telefon.

– Archiwum, słucham – odpowiedziała Abby swoim najlepszym telefonicznym głosem.

– Halo?

Słychać było ciężki oddech, a w tle stłumione odgłosy pogawędki i śmiechu. Instynktownie poznała, że to jej szef melduje się z długiego lunchu.

– Abigail, tu Stephen. Słyszysz mnie?

Abby zmusiła się do uśmiechu. Stephen Carter, kierownik archiwów KIK, w rozmowie telefonicznej wypadał

beznadziejnie. Zawsze zachowywał się, jakby był wiktoriańskim dżentelmenem, który po raz pierwszy korzysta z tych nowomodnych urządzeń.

– Wszystko w porządku?

Abby podniosła wzrok na chwiejny stos pudełek.

– Nic, z czym nie umiałabym sobie poradzić.

– Świetnie, świetnie – rozpłynął się. – Chciałem cię tylko powiadomić, że może nie wrócę tego popołudnia. Wiesz, jak to jest z tymi spotkaniami.

Owszem, wiedziała. Stephen mówił nieco bełkotliwie.

– Ale mam też dobrą wieść – ciągnął. – Christine przekazała mi parę fascynujących informacji o wystawie. Nie mogę się doczekać, kiedy ci opowiem.

Dziś wypadała data comiesięcznego lunchu Stephena z Christine Vey, kierowniczką zbiorów, napuszoną babą, która okazywała zerowe zainteresowanie KIK, natomiast sporo uwagi poświęcała swojej dalszej karierze. Plany Christine zawsze sprawiały, że Abby czuła się nieswojo; nigdy nie były to dobre wieści dla ludzi pracujących w Instytucie.

– Jest coś, co powinnam wiedzieć? – spytała.

– Porozmawiamy o tym jutro – odparł Stephen. – W zasadzie to potrzebne nam sprawozdanie, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy. Christine chce mieć pełny aktualny raport. Godząc się na tę wystawę, naprawdę postawiła dla nas wszystko na jedną kartę, więc nie można jej zawieść. Rozumiemy się?

– Oczywiście – wymamrotała Abby, szybko pisząc zbiorowego maila do Anny, Ginny i Suze, swoich trzech naj-

lepszych przyjaciółek, z pytaniem, czy nadal mają ochotę spotkać się na drinka tego wieczoru.

– Pierwszą rzeczą, za jaką się jutro zabierzemy, jest przejrzenie ostatecznego wyboru fotografii, a potem będziesz mogła przejść się ze slajdami i negatywami do pracowni – ciągnął Stephen. Słowa płynęły ciurkiem z jego ust, gdyż spieszno mu było do zakończenia rozmowy. – A teraz muszę lecieć. Aha, i mogłabyś przygotować tego Johnsona z 1789 roku dla pana Bramleya? Wiesz, jaki jest wymagający.

– Zrobione – odrzekła, patrząc na zwrotny mail od Suze. *Do zobaczenia w barze. Tak się cieszę, że dasz radę przyjść.*

– Doskonale, jesteś skarbem.

Abby odłożyła telefon z powrotem na podstawkę i zerknęła na zegarek. Nie było jeszcze nawet wpół do piątej. Miną wieki, zanim będzie mogła znaleźć jakąś wymówkę i wyjść wcześniej, nawet jeśli Stephen nie ma zamiaru wrócić do biura.

Poza tym trzeba było przygotować raport. Stephen Carter nie był złym szefem, ale czepiał się szczegółów, podlizywał się zwierzchnikom, a ona, technicznie rzecz biorąc, była tylko chwilowym członkiem personelu – pracowała na umowie odnawialnej – i wiedziała, że będzie kozłem ofiarnym w przypadku wszelkich niefortunnych wypadków, niepowodzeń czy niejasności.

Teraz, gdy była na swoim i utrzymywała się sama, bez żadnego zabezpieczenia ze strony rodziny czy ukochanego, wolała nie myśleć, jakie konsekwencje by poniosła, gdyby coś się stało z jej pracą.

Poczuła, że chce jej się płakać, ale pohamowała emocje w drodze do archiwum fotografii: z długimi rządkami stalowoniebieskich, metalowych półek, gdzie na każdej leżały dziesiątki pudeł kartotekowych z negatywami, slajdami i zdjęciami.

Wędrowała wzdłuż rzędów, przesuwając palcami po pudłach. To była ta część pracy, którą najbardziej lubiła. Nie potrafiła zbytnio pasjonować się mapami. Czy kogoś mógł podniecać źle narysowany widoczek Lancashire? Jednak z fotografiami było inaczej. Miały w sobie coś magicznego. Były osobistym zapisem szczególnego okresu, zanim naprawdę poznano świat, a wykonywali je nieliczni ludzie, którzy odważyli się zapuścić poza cywilizację. Usiadła na krześle biurowym i ściągnęła jedno pudło. Jej praca polegała zasadniczo na katalogowaniu kolekcji, opisywaniu każdego kartonu: wyprawa, rok, część świata, nazwiska i osiągnięcia, tego rodzaju rzeczy, żeby można je było potem wklepać do komputera i zaopatrzyć w odsyłacze. Ale miała też inne zadanie – musiała zmusić te duchy do płacenia. I taki był prawdziwy powód, dla którego ją zatrudniono: została przyjęta do pracy w charakterze kustosza wystaw, by zainteresować publiczność tymi od dawna zaniedbanymi przezroczami.

Ich pierwsza wystawa, upamiętniająca dwóchsetlecie Instytutu, miała się odbyć za trzy tygodnie, a Abby nie była do końca pewna, czy już są na to gotowi. Wybieranie zdjęć na ekspozycję było łatwe. Pokaz nosił tytuł „Wielcy brytyjscy odkrywcy", więc mieli dużo spektakularnych ekspedycji do wyboru: wejścia na Everest i K2, wyprawy

na bieguny, a nawet podróż Livingstone'a w górę Nilu. Wciąż jednak czegoś brakowało, jakby w samym środku wystawy ziała dziura. Nie do końca wiedziała, czego tam brak, i miała nadzieję, że dowie się, gdy to znajdzie.

Odetchnęła głęboko, wyciągnęła wąskie pudełko i otwarła je. Wewnątrz znajdowała się kolekcja przezroczy. Wyjęła pierwsze i uniosła je ku światłu. Grupa małych postaci, przyćmionych przez ośnieżone szczyty za nimi. Wydobyła następny slajd: plan średni z ekipą tragarzy, szczerzących zęby do niewidocznego fotografa. Spojrzała na bok pudła, na którym widniała etykietka: *Ekspedycja Mortimera, Nepal, 1948*. Przetoczyła się na krześle w stronę przeglądarki do slajdów, włączyła ją i skorzystała z lupy – wychwalanego szkła powiększającego, dzięki któremu zdjęcia wyglądały, jakby wydrukowano je w dużym rozmiarze.

Surowa, czarno-biała fotografia poszarpanych himalajskich szczytów robiła wrażenie, ale nie różniła się zbytnio od dziesiątków innych olśniewających zdjęć ośnieżonych masywów. I z tym właśnie był kłopot – na wystawie pokazywali dużo śniegu, wzgórz, bieli. Monotonia.

Wydęła policzki, żałując, że nie mogła wnieść do pracowni fotograficznej filiżanki herbaty. Było to zakazane w tym dusznym, klaustrofobicznym pomieszczeniu, przypominającym Abby stare filmy o łodziach podwodnych.

Tyle że brak tu muskularnych marynarzy, pomyślała ponuro.

Przez chwilę żałowała, że pracuje w tak ciemnym i odizolowanym miejscu. Jej przyjaciółki z pewnością uważały,

że jej odbiło, skoro rzuciła pełnoetatową pracę w V&A. Nie znały jednak prawdziwych powodów jej odejścia. Nie wiedziały, dlaczego zamieniła stałą posadę na pracę freelancera w KIK. Abby i Nick Gordon nikomu nie mówili o swoich staraniach o dziecko. Chociaż byli pierwszą małżeńską parą w ich przyjacielskim kręgu, nikt ich nie pytał, kiedy w ich domu zatupotają małe stópki. Oboje mieli po trzydzieści parę lat, mieszkali w Londynie, dobrze się bawili i poświęcali się karierze. Poza tym ten temat był czymś w rodzaju tabu. Sprawa prywatna. Nawet jeśli podejrzewano, że któraś przyjaciółka ma problemy z płodnością, nigdy o to nie pytał. Chyba że sama o tym opowiedziała.

Abby i Nick zostali ostrzeżeni, jakie trudności wiążą się z zapłodnieniem in vitro. Jednak Abby nie spodziewała się, że będzie to aż tak wyczerpujące pod względem fizycznym i emocjonalnym. Porzuciła swoje zajęcie i zgodziła się na elastyczne godziny pracy w Instytucie. Mimo to dziecka nadal nie było. A potem zabrakło też męża.

Wydobyła kolejne pudełko, tym razem czarno-białe odbitki. *Peru, Amazonia,* głosiła etykietka, *1961*.

Nakazała sobie skupienie, starając się zapomnieć o Nicku, który od czasu do czasu nawiedzał jej myśli. Siedząc, wyjęła zdjęcia z pudełka, i oparłszy je na udach, ostrożnie wszystkie przejrzała.

Na pierwszym widać było mężczyznę z kilkoma mułami, na tle szerokiego ujęcia długiej doliny, porośniętej dżunglą. Drugie okazało się pięknym portretem kolibra, uchwyconego z bliska, na trzecim grupka tragarzy niosła wielkie kosze, twarze mieli zniszczone i ogorzałe od

słońca. Przynajmniej nie ma tu śniegu, pomyślała, czując, że te zdjęcia mogłyby jej się przydać. Przeglądała fotografie dalej, aż jedno ze zdjęć zmusiło ją do zatrzymania się. Mężczyzna i kobieta, tuż obok siebie. On przytulił dłoń do jej policzka, ona do jego, przez co wyglądali, jakby właśnie żegnali się czule. Abby przyłożyła dłoń do ust, oddech uwiązł jej w gardle. To było piękne, poruszające, a jednak nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Przecież ta scena nie była niczym niezwykłym, takie rzeczy widuje się codziennie na dworcach kolejowych i na lotniskach.

Jednak to zdjęcie było inne: kryły się w nim napięcie, smutek. Kobieta wyglądała na zrozpaczoną. Ale dlaczego? Kim był ten mężczyzna? I kim była jego ukochana?

Odwróciła fotografię. Przeczytała napis na naklejce na odwrocie: *Ekspedycja Blake'a, Peru, sierpień 1961*.

Na podstawie innych zdjęć domyślała się, że mężczyzna wyruszał do dżungli. Czy kobieta błagała go, by tego nie robił? I czy on mimo to musiał tam pójść? Zastanawiała się, ile lat mogliby mieć teraz, czy nadal żyją i czy wciąż są razem. Znów spojrzała na zdjęcie. Boże, było naprawdę dobre. I wiedziała, że doskonale nada się na wystawę. Zebrała już wystarczająco dużo tych imponujących, efektownych ujęć – drobne figurki wyrąbujące sobie drogę w górę skalnej ściany czy pokryte soplami lodu statki wśród kier – ale to? To było co innego. W tym zdjęciu zawierały się emocje, poczucie, że jest tu do odkrycia coś więcej niż tylko to, że ktoś wstał i gdzieś poszedł. Heroiczny wyczyn był tu zakorzeniony w realnym świecie, zmuszał do zastanowienia: a gdybym to ja mia-

ła tam pójść? Co bym czuła? I jak bym się czuła, gdybym to ja musiała zostać? Była to fotografia, która wymownie opowiadała o sile miłości i o lęku przed utratą. Abby nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki wielka łza nie skapnęła na przeglądarkę.

Nie możesz zmoczyć wszystkich tych bezcennych pamiątek, zbeształa się i wyszła z pracowni fotograficznej, by poszukać chusteczek.

– Abigail? Wszystko dobrze?

Odwróciła się i ujrzała wpatrzonego w nią pana Bramleya. Christopher Bramley należał do ich stałych gości, często schodził do archiwum po dodatkowe materiały do swoich badań. Siwowłosy i zgarbiony, rzadko się odzywał, chyba że prosił o jakiś dokument czy mapę.

– Tak, doskonale, dziękuję – szybko odparła Abby, ocierając wilgotne oczy. Starszy pan uniósł brwi.

– Mam nadzieję – powiedział życzliwie.

Zastanawiała się, ile wiedział o jej życiu. Czy coś dotarło do jego uszu.

– Zapraszam, już są. Mapy, których pan szukał – odezwała się pogodniejszym tonem.

– Myślę, że jestem dziś ostatnim czytelnikiem. Instytut już raczej opustoszał – uśmiechnął się. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął chusteczkę i podał jej. – Jestem pewien, że pan Carter nie będzie miał nic przeciwko, jeśli dziś wcześniej pani zamknie i pójdzie do domu.

Skinęła głową, postanawiając, że tak właśnie zrobi, i wróciła do pracowni fotograficznej, by skończyć pracę.

Wsunęła odbitkę Blake'a do tekturowej koperty, postanawiając, że jutro zapyta o nią Stephena. W końcu pracował w tych zbiorach przez ponad dziesięć lat i posiadał encyklopedyczną wiedzę o każdym badaczu i kartografie z ostatnich trzystu lat.

Zgasiła światło, sprawdziła, czy wszystko zamknięte, i włożyła kurtkę.

– Do zobaczenia jutro, panie Bramley – powiedziała i ruszyła przez czytelnię, zarzucając torebkę na ramię.

– Och, zapewne – odparł starszy pan. – Wybierasz się gdzieś?

– Owszem. Parę drinków z przyjaciółkami.

– Baw się dobrze, Abigail – uśmiechnął się. – Zasłużyłaś na to.

Odpowiedziała uśmiechem. Nie paliła się do wyjścia z dziewczynami, ale teraz uznała, że właśnie tego jej trzeba. Wbiegła po schodach z podziemia na parter, na zalane słońcem atrium Instytutu. Powrót do cywilizacji, pomyślała, zerkając na komórkę. Okazało się, że ktoś dzwonił, gdy była na dole, gdzie nie docierał sygnał.

Wybrała pocztę głosową i poczuła mdłości, gdy usłyszała wiadomość.

– Abs, to ja. Nick. Oddzwoń do mnie. Musimy porozmawiać.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059